

KRZYSZTOF P. ŁABENDA



MIASTECZKO POMROKA

ZAGADKA TAJEMNICZYCH ZAGINIĘĆ, A PÓŹNIEJ ŚMIERCI
ABSOLWENTEK TRZECIEJ KLASZY LICEUM. OD TRZECH LAT
KAŻDEGO ROKU ZNIKA JEDNA Z NICH.



DEMO

Krzysztof Piotr Łabenda
„Miasteczko Pomroka”

Copyright © by Krzysztof Piotr Łabenda, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca:
Renata Grześkowiak

Korekta:
„Dobry Duszek”,
Robert Olejnik

Projekt graficzny i skład:
„Dobry Duszek”

Projekt okładki:
Jakub Kleczkowski

ISBN: 978-83-8119-800-4

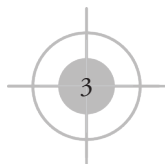
Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
www.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl



ROZDZIAŁ I

Samochód, którym Steven Strauss jechał przez afgańskie bezdroża, nie był pojazdem wojskowym, choć celem podróży była baza wojsk USA. Była to stara, mocno wysłużona, kiedyś fioletowa, a dziś wyblakła, wpadająca niemalże w róż, toyota hiace. Bus podskakiwał na licznych wybojach, wskutek czego pasażerowie przypomnieli sobie, że człowiek posiada szczątkową kość ogonową, a co i rusz obijane o twardą kanapę pośladki potrafią, podobnie jak ta kość, boleć niemiłosiernie. Steven, podróżujący w towarzystwie miejscowego kierowcy, którego imienia nawet nie starał się zapamiętać, i Diany Rosenthal – redaktorki „State Journal” – lokalnej gazety stanu Wisconsin, był początkującym pisarzem mieszkającym w Middelton, miasteczku położonym niedaleko Madison, stolicy stanu. Jego debiutancka powieść *Broken hearts*¹ sprzedała się w bardzo przyzwoitym nakładzie i sprawiła, że Strauss stał się rozpoznawalny. Przynajmniej w miejscu swojego zamieszkania. To znakomicie podbudowało jego pewność siebie. Uznał, że

¹ ang. złamane serca





rzeczywiście może być pisarzem. Postanowił, że jego druga powieść, której nadał roboczy tytuł: *The thought of a graveston*², będzie o żołnierzach na misji w Afganistanie. Wierzył, że zamiar się uda, bo przecież jego żona, kapitan Kira Mazur, Polka z pochodzenia, służyła w bazie, do której właśnie zmierzał. O projektowanej książce, mającej być w dużej mierze pogłębionym studium psychologicznym żołnierzy długo funkcjonujących poza domem i w warunkach zagrożenia życia, zwykł mówić, że to ważny dla niego projekt, który ma zamiar zrealizować, wykorzystując relacje żony i jej współtowarzyszy broni. Teraz jednak stokroć ważniejsze było to, że już za mniej więcej pół godziny zobaczy się z Kirą, weźmie ją w ramiona, przytuli i kolejny raz wyszepcze jej do ucha, jak bardzo ją kocha, choć nie miał już pewności, czy będą to słowa do końca prawdziwe. Nienawidził tego jej zajęcia, bo pozbawiało go jej obecności na długie miesiące, zabijało powoli niegdyś tak gorącą miłość, ale z drugiej strony, ponieważ w jego duszy tliły się jednak resztki miłości, rozumiał, że służba w korpusie Marines jest dla jego żony więcej niż niezwykle ważna.

² ang. myśl o nagrobku



Poznali się w Polsce, w Gdańsku, ponad 10 lat temu. Kira Mazur kończyła wówczas studia prawnicze. On był na wycieczce po Europie. To, że są sobie przeznaczeni, było dla nich oczywiste niemalże od pierwszego spotkania w jednym z pubów na gdańskiej starówce. Kira bez wahania pojechała za mężem do USA. Przez pierwsze pół roku mieszkali w Kalifornii, ale Steven nie mógł tam znaleźć miejsca dla siebie, a i zajęcie, które wykonywała Kira, nie było zbyt ambitne.

Straussowie byli dużą amerykańską rodziną o niemieckich korzeniach. Wywodzili się z Horst – niewielkiego miasteczka w Dolnej Saksonii. Widać to szczególnie w licznych germanizmach obecnych w języku, którym się posługiwali. Słowa takie jak: ersatz mające określać coś zastępczego i najczęściej bardziej podłego gatunku, rucksak – plecak, czy kindergarten – przedszkole, były tu na porządku dziennym. Niemieckie korzenie widać było także i w kuchni oraz pewnych, kulturowanych od wieków, zwyczajach, znaczenia których już nie rozumiano. W salonie, na czołowym miejscu, wisiał obraz przedstawiający malowniczo położony XVI-wieczny młyn na rzece Seeve, przepływającej



przez Horst. Obraz ten, traktowany niemalże jak relikwia, był w rodzinie od zawsze.

Wszyscy Straussowie mieszkali w okolicach Madison. Rodzina była ze sobą silnie zżyta. Na czele rodu stała babka, do której wszyscy zwracali się per oma³. Szacunek okazywany babce był wyjątkiem od wyznawanej tu i praktykowanej zasady di drei K⁴. Steven zadecydował więc, że wraz z Kirą przeprowadzą się w tamte okolice, by być bliżej rodziny. Tłumaczył żonie, że przecież niebawem bez wątpienia pojawią się dzieci i byłoby dobrze, by miały one częstszy kontakt z dziadkami, ciociami i kuzynami. Przekonywał, że życie w Madison i okolicy jest dużo tańsze, szkoły publiczne są na wysokim poziomie, a małe miasteczka charakteryzują się tym, że gwarantują życie spokojne i beztrudne, niemalże zgodne z filozofią slow life, nawet jeśli mieszkańcy nie mają o tej filozofii zielonego pojęcia.

Kira nie chciała mieć dzieci, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości, co było od czasu do czasu przyczyną

³ niem. babka, stara kobieta

⁴ niem. trzy K, co oznacza: Kinder, Küche, Kirche – dziecko, kuchnia, kościół, i ma określać rolę kobiety w rodzinie



ich małżeńskich kłótni. Szybko pojęła, że jej mąż może i nie tkwił mentalnie w niemieckich zasadach i uważał się za postępowego członka społeczeństwa, ale jednak w skrytości ducha i on był zwolennikiem zasady barefoot and pregnant⁵. Amerykańska rodzina, podobnie jak życie na prowincji, rozczarowały ją dość szybko. Wiedziała, że zdecydowanie nie nadaje się do roli kury domowej. Czuła, i tak było w istocie, że w związku z tym nie jest przez bliskich Stevena do końca akceptowana. Nie mogła się doprosić, by zwracali się do niej per Kira, wymawiając jej imię po polsku, a nie Kajra. Prawidłowa wymowa jej imienia nie powinna przecież sprawiać im najmniejszej trudności. Nie potrafiła znaleźć w sobie choćby odrobiny zrozumienia dla prawdziwej pasji swojej teściowej, polegającej na zbieraniu wszelkich kuponów rabatowych i co gorsza realizowaniu ich bez względu na to, jakie towary można było przy ich pomocy kupić po okazyjnej cenie. Zdarzało się zatem, że w domu teściów pojawiała się nagle sto tubek pasty do zębów czy dziesięć gumowych gruszek do lewatywy.

⁵ ang. boso i w ciąży – kobieta nie powinna pracować poza domem (w domu nie potrzebuje butów) i powinna mieć jak najwięcej dzieci



Za dolegliwość uważała regularne spotkania rodzinne, w myślach nazywała je spędami, podczas których przy obficie zastawionym stole prowadzono przeraźliwie banalne rozmowy i plotkowano o sąsiadach – tak to opisywała Stevenowi. Regularnie i bez skrzępowania pytano ją i Stevena o to, kiedy wreszcie będą mieć dziecko. Jej teść, odwołując się do jej nazwiska, niezmiennie powtarzał, że jego zdaniem Mazurowie mają chyba jakiś defekt genetyczny, co nie wydaje mu się dziwne u Polaków, bo Straussowie nie mieli i nie mają problemów z płodnością. Na dodatek synowa ma dość wąskie biodra, co ewidentnie świadczy o tym, że nie ma co liczyć na gromadę wnuków. Nie przyjmował też do wiadomości, że żona może mieć własne zdanie co do tego czy, kiedy i ile razy zajdzie w ciążę. Nie ulegało wątpliwości, że dla Straussów ona nadal jest i zawsze będzie Kirą Mazur a nie Strauss.

W przeciwieństwie do Straussów uwielbiała biegać, ćwiczyć na siłowni, dbać o swoją sylwetkę. Jedynie Steven dotrzymywał jej tu towarzystwa i zdawał się rozumieć tę jej potrzebę czy wręcz pasję. Pozostali członkowie rodziny prowadzili zdecydowanie siedząco-leżące



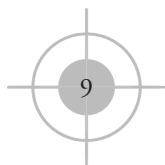
cy tryb życia, jedli zbyt dużo i zbyt często i z całą pewnością mało zdrowo. Wszyscy byli więc, bez względu na wiek, mocno otyli. Prym wiodła tu cioteczka Martha, która doprowadziła się do takiego stanu, że ważyła bez mała dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Jedynym wybawieniem dla niej był – jak mówiła – doktor Nowzaradan, pracujący w Huston i zajmujący się chirurgią bariatryczną.

W dziesiątą rocznicę wydarzeń z jedenastego września 2001 roku, a w pięć lat po ślubie, Kira postanowiła zmienić definitywnie swoje życie, zerwać z otaczającą ją i powoli wdzierającą się do jej i Stevena życia gnuśnością. Kochała swojego męża, ale dalej tak nie mogła i nie chciała żyć. Zdecydowała, że zostanie żołnierzem Marines.

Po pierwszym odruchu buntu, krzyku w stylu: „Albo wojsko, albo ja!”, Steven zrozumiał i, na tyle, na ile był w stanie, zaakceptował jej decyzję.

– Miłość wymaga ustępstw i poświęceń – powtarzał.

Jego rodzina myślała wręcz przeciwnie. Uważali za czyste wariactwo to, co chciała zrobić „ta Mazur”. Ofi-





cialnie jednak starali się nie poruszać tego tematu lub udawali chłodną akceptację. Przecież nie mogli zakwestionować tego, że Kira w odruchu patriotyzmu chce się poświęcić służbie swojej nowej ojczyźnie. Ten argument podnosili też w rozmowach z sąsiadami. Jednakże wówczas prezentowali postanowienie Kiry jako coś bardzo pozytywnego, dowód wdzięczności dla wielkiego narodu amerykańskiego, dającego każdemu, nawet naturalizowanemu obcokrajowcowi, szansę na osiągnięcie sukcesu. To usprawiedliwiało także i brak dziecka, o które dopytywali już także i sąsiedzi. W skrytości ducha liczyli jednak na to, że Kira nie wytrzyma trudów szkolenia i niczym zbity pies wróci do domu z podkulonym ogonem i wreszcie zrozumie, gdzie jej miejsce.

Wstąpienie w szeregi Marines na początku wydaje się niezbyt skomplikowane. Kira zdążyła się jednak dobrze przygotować do wykonania tego kroku i wiedziała, że owa pozorna łatwość to mit. Chętni mają do wykonania trzy proste ćwiczenia. Mężczyźni muszą podciągać się, a kobiety wisieć, odpowiednio długo na drążku. Później są do wykonania tak zwane brzuszki. Trzeba ich zrobić, co bardzo rozbawiło Kirę, czterdzie-



ści i cztery. Ma się na to dwie minuty. Później jest bieg na półtorej mili. Dla kobiet przewidziano na te zadania nieco ponad kwadrans. Spełnienie tych minimalnych wymagań nie jest gwarancją przyjęcia na kurs dla przyszłych Marines. Każde z ćwiczeń oceniane jest według odpowiedniej skali punktowej, a decydujące o sukcesie są czas i precyzja. Kolejnym sitem odsiewającym kandydatów są badania medyczne. Wojsko wymaga między innymi, by przyszły żołnierz miał odpowiednią wagę i wskaźnik tłuszczu w organizmie. Sympatyczne „misiaczki”, nawet jeśli wspañiale wykonały ćwiczenia wstępne, nie dostąpią zaszczytu włożenia upragnionego munduru.

Kira Mazur przeszła pomyślnie wszystkie etapy weryfikacji i trafiła do ośrodka szkoleniowego w San Diego w Kalifornii. Kolejne fazy szkoleń, jakim ją tam poddano, trwały bez mała dziewięćdziesiąt, wydających się nie mieć końca, piekielnych tygodni i zakończyły się trwającym pięćdziesiąt cztery godziny egzaminem. Czas szkoleń to, niestety, czas mocno ograniczonych kontaktów z rodziną. Dobrze znoszą to jedynie nieliczni. O ile Kira jakoś sobie z tym radziła, o tyle



Steven miał z tym istotny problem. Uważał, że żona oddała się w ten sposób od niego, że wojsko działa destrukcyjnie na łączącą ich więź, niszczy wręcz ich miłość. Budziła się też w nim zazdrość. Nie miał co prawda ku temu realnych podstaw, ale myśl o tym, że atrakcyjna kobieta funkcjonująca w otoczeniu młodych mężczyzn spragnionych uczuć, kobiety czy zwyczajnie seksu, może ulec pokusie, kołatała mu się po głowie.

Podczas odbywanych szkoleń Kira zdecydowanie przodowała w treningach i zawodach strzeleckich. Dowództwo zdecydowało więc o skierowaniu jej na specjalistyczny kurs dla snajperów. Ukończyła go z wyróżnieniem. Niemalże w tym samym czasie udało się jej skończyć akademię i została oficerem. Urzędnik charakteryzujący jej dokonania miał więc pełne prawo napisać w aktach, że jej dotychczasowa kariera wojskowa była jednym pasmem sukcesów. W ciągu ośmiu lat służby awansowała do stopnia kapitana, a jej bluzę mundurową ozdobiło Purpurowe Serce przyznawane za odniesione rany (postrzał w łydkę) i Srebrna Gwiazda przyznana za zasługi bojowe, którymi były osiągnięcia snajperskie. Kapitan Kira Mazur podczas służby w Afgani-



stanie wyeliminowała kilkudziesięciu nieprzyjaciół, ratując w ten sposób życie setek amerykańskich żołnierzy.

Nie potrafiła jednak do końca uratować swojego małżeństwa. Była nadal mężatką i nadal kochała Stevena, ale musiała przyznać, że ten mocno się od niej oddalił, a może to ona oddalała się coraz bardziej od niego. Był obecny w jej życiu, ale raczej na jego peryferiach niż w samym centrum. Zdradził ją nawet kilka razy, o czym żona nie wiedziała, ale mogła się domyślać. Usprawiedliwiał sam przed sobą tę zdradę, błędnie zakładając, że i ona nie była mu wierna. Trochę też zgorzkniał i od czasu do czasu przemyślał o rozwodzie. Nie był jednak pewien, czy rzeczywiście tego chce.

Kira uwielbiała swoje zajęcie, była niemalże uzależniona od adrenaliny jako skutku udziału w akcjach bojowych. Nie potrzebowała seksu, bo wojsko dostarczało jej wystarczającej satysfakcji. Udział w misjach traktowała nie, jak większość żołnierzy, jako dolegliwość, ale swego rodzaju frajdę, atrakcję. O ryzyku odniesienia ran, w wyniku których zostanie kaleką, czy ryzyku śmierci nie myślała wcale. Steven to widział i starał się mimo wszystko zrozumieć. Nie akceptował tego do końca, ale widząc, jak bardzo ją to



uszcześliwia, poddał się. Zgodził się na rolę przypisywaną zwykle żonom marynarzy. Żonę miewał sporadycznie i na krótko. Przekonał się też na własnej skórze, że natury drugiego człowieka, nawet jeśli łączy nas z nim miłość, nie da się zmienić. Działania w tym kierunku niosą za sobą najczęściej krzywdę wyrządzaną temu drugiemu.

Spotkanie z żoną, na które właśnie jechał, miało być zupełnie nowym doznaniem w ich związku. Jeszcze nigdy nie mieli okazji spędzić ze sobą kilku dni w obozie wojskowym, praktycznie na polu walki, w miejscu, które Kira uważała za swoje środowisko naturalne. Steven liczył na to, że ten pobyt, rozmowy z żołnierzami, może nawet udział w krótkim patrolu, staną się bazą dla jego książki. Postanowił też, że będzie to ostatnia próba utrzymania ich małżeństwa. Albo zbliżą się do siebie równie mocno jak przed laty w Gdańsku i Kira będzie częściej bywała w domu, albo oznajmi jej, że odchodzi. Nie zamierzał jej jednak powiedzieć, że w jego życiu obecna jest także Diana Rosenthal, z którą właśnie podróżował. Wiedział tylko, że jedną z kobiet będzie musiał zranić. Wiedział też, którą przyjdzie mu zranić łatwiej i z którą chciałby spędzić resztę życia.



Człowiek najczęściej nie wie, kiedy nadejdzie kres jego życia. Ta niewiedza ma charakter dychotomiczny. Z jednej strony jest błogosławieństwem, bo pozwala żyć w złudnym przeświadczeniu, że to jeszcze nie dziś, nie teraz, że ma się jeszcze dużo czasu. Skoro tak, skoro coś jest bardzo odległe, to nie warto zaprzątać sobie tym myśli, bo inaczej można zwariować. Kiedyś umrę, to fakt, ale owo „kiedyś” brzmi teraz niemalże jak „nigdy”. Z drugiej strony ta niewiedza jest przekleństwem, bo często bywa, że odchodzimy nagle, pozostawiając nie tylko brudne filiżanki po kawie, której nie zdążyliśmy dopić ale i mnóstwo niezakończonych a ważnych spraw. Powinniśmy powiedzieć komuś: „kocham cię” czy „przepraszam” bądź „odchodzę”, ale już nie zdążymy, bo nasz czas właśnie się skończył. Tak to już jest jakoś urządzone, że trzeba z tym żyć.

Ani Steven, ani towarzysza jego podróży, i w pewnym sensie jego życia, nie zaprzęтали sobie głowy tym problemem, choć jechali przez krainę, gdzie kule padały często i gęsto. Kierowca pilnował nierównej, pełnej dziur i wielkich kamieni drogi pokrytej czerwonym pyłem i też daleki był od filozoficznych rozważań. Spraw-



dzał co rusz wskaźnik temperatury silnika, bowiem wysłużona toyota miała tendencje do przegrzewania się. Pasażerowie tego busika, cierpiąc z powodu niedziałającej klimatyzacji, upału i wdzierającego się do wnętrza nieznosnego, rdzawego kurzu, z utęsknieniem wypatrywali kresu podróży. Diana była dodatkowo spięta. Obawiała się spotkania z Kirą, tego czy będzie mogła spędzić kilka dni w jej towarzystwie i nie dać po sobie poznać, co się z nią dzieje w rzeczywistości. Z przerażeniem też myślała o tym, że Steven spędzi ze swoją żoną nie tylko kilka dni ale i nocy. Dawał jej co prawda jakąś nadzieję, że po tej wizyciełoży pozew o rozwód, ale wcale tak być nie musiało. Nie wiedziała przecież, jak wielką czarodziejką jest Kira i jak wykorzysta te dane jej noce.

Pierwsza kula, wystrzelona przez zaczajonego gdzieś na zboczu snajpera, trafiła kierowcę prosto w głowę. Niecałą sekundę później rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu, gdy ciało zabitego opadło na kierownicę. Siedząca na fotelu obok kierowcy Diana Rosenthal chciała krzyknąć z przerażenia. Nie zdążyła, bo druga kula i jej roztrzaskała głowę. Wycie klaksonu ustało,



bowiem ciało Diany upadło na bok, przesuwając zwłoki kierowcy. Oboje zabici nie zdążyli ani się przestraszyć, ani poczuć bólu. Ich śmierć była natychmiastowa.

– O kurwa! – zawołał Steven i wyskoczył z samochodu.

Był bez broni, na otwartej przestrzeni, a jedynym schronieniem przed bezdusznym snajperem, wydającym i precyzyjnie wykonującym wyroki śmierci, było auto, którym jeszcze przed chwilą podróżował. Może gdyby udało mu się skryć z tyłu toyoty, dane byłoby mu przeżyć kilkanaście sekund więcej. Steven przywarł jednak do lewego boku busa. Trzecia kula trafiła w przód pojazdu, który natychmiast stanął w płomieniach.

„Kira, kurwa mać! Ty też tak robisz?!” – krzyknął w myślach i rzucił się do ucieczki.

Ten manewr pozwolił mu ocalić ciało przed zwęgleniem, ale nie uratował życia.

Snajper, wykonawszy robotę, wstał, ogarnął zimnym spojrzeniem swoje dzieło i oddalił się wolno ku swojej kryjówce. Z przeciwległego zbocza obserwował go mały chłopiec, dziesięcioletni pasterz trzech wychudzonych, brązowych kóz.



Kapitan Kira Mazur, włożywszy mundur, pod którym skrywała bardzo seksowną i bardzo nieregulaminową bieliznę z czarnej koronki, suszyła właśnie włosy, kiedy w stosunkowo niedużej odległości od bazy dostrzeżono słup czarnego dymu. Dwie drużyny dyżurne wyruszyły natychmiast na rozpoznanie. Wróciły po upływie ponad godziny. Steven nadal nie dotarł do bazy. Kira bez trudu poskładała elementy tej niezbyt trudnej układanki. Dосkoczyła do pierwszego z samochodów.

– Pokażcie mi go! Natychmiast! – krzyknęła tonem, który wyraźnie wskazywał na to, że niespełnienie jej żądania nie wchodzi w rachubę.

– Jest w drugim wozie, pani kapitan – mruknął kapral dowodzący drużyną. – Miał trochę szczęścia.

– Żyje?! – Kira odzyskała nadzieję.

– Było ich troje. Snajper zabił całą trójkę i podpalił samochód. Mąż pani kapitan zdążył wydostać się na zewnątrz. Tam go dopadł, ale dzięki temu jego zwłoki są w dobrym stanie. Nie uległy zwęgleniu. Przykro mi.

Kira nie mogła zaakceptować decyzji dowódcy, który nie tylko nie wydał zgody na natychmiastowy wymarsz



oddziału mającego odszukać i zlikwidować zabójcę, ale także kategorycznie zabronił jej jakiejkolwiek akcji na własną rękę. Nie zamierzała się temu podporządkować, nawet gdyby później wydano ją ze służby i resztę życia miałyby spędzić w więzieniu. Kochała Stevena i musiała pomścić śmierć jego i tej dwójki nieszczęśników zabitych razem z nim. Gdyby jej mąż nosił, tak jak ona, mundur i zginął w walce, byłaby w stanie pogodzić się z tą śmiercią. Ból byłby z pewnością równie wielki jak teraz, ale ta śmierć miałyby jakieś racjonalne wytłumaczenie. Ta nie miała absolutnie żadnego.

Przez długie tygodnie i miesiące szkoleń uczono ją wielu rzeczy. Nikt jednak nigdy nie powiedział, że uczy się ją i innych zabijać. To słowo nie padło w żadnych okolicznościach. Mówiło się o wyeliminowaniu, zneutralizowaniu, w ostateczności o likwidacji celu, nazywanego z rzadka przeciwnikiem, ale nikt nie nazwał tego po imieniu, a przecież uczono ich zabijać! Uczono ich nie tylko celnie strzelać, badać siłę wiatru, oceniać odległość, a także tego, jak się maskować, unikać wykrycia przez przeciwnika, jak odczytywać ślady. Uczono ich, choć nie wprost, jak z tym wszystkim, co przyjdzie



im robić, żyć i nie zwariować. Budowano w nich zapory, które miały za zadanie nie przepuszczać do ich świadomości myśli o zabijaniu, uchronić przed nadmiarem alkoholu, narkotykami, strachem i zwątpieniem, tym wszystkim, co niszczy ostrość widzenia i przyprawia o drżenie rąk, a więc eliminuje snajpera z gry. Uczono ich także, by stali się głusi na głos sumienia. Jeden z instruktorów, usłyszawszy na początku kursu pytanie o sumienie, odpowiedział:

– Sumienie to brudna ściera, którą można wyprać, a najlepiej zostawić ją w domu lub wyrzucić, bo w tej pracy – tak, tak żołnierze! – w pracy – tylko przeszkadza.

Z pierwszym celem, który zdjęła, było o tyle łatwo, że – z uwagi na odległość – nie była w stanie rozpoznać detali. Nie wiedziała, w jakim wieku był przeciwnik, jakie miał włosy, oczy, czy był wysoki czy może niski. Był czymś. Pojęciem, sylwetką, tarczą na strzelnicy. W chwili, gdy, uspokoiwszy oddech, powoli ściągnęła spust, gdzieś w oddali był tylko cel wolny od jakichkolwiek cech człowieczeństwa, choć właśnie za jej sprawą uchodziło z niego życie.

Nie była jednak zimną zdehumanizowaną maszyną do zabijania. Była człowiekiem. Myślała, analizowa-



ła i mimo wszystko miała uczucia. Może to z tego powodu armia tak niechętnie szkoliła kobiety-sнайперów. Może ich psychika nie dawała się tak łatwo modelować jak męska, może ich charakterzy nie do końca twardniały tak, jak tego oczekiwano.

Kira po wykonaniu pierwszego zadania uzmysłowiła sobie, że to, co zrobiła, na zawsze zmieniło jej postrzeganie świata. Ten, kogo dosięgnęła jej kula, przestał istnieć. Razem z nim odeszła jakaś jej część, choć Mazur wierzyła, że jednak nie na zawsze. Od tej chwili Kira będzie odczuwała jej brak i od dnia następnego, nie zdając sobie jeszcze z tego sprawy, zacznie czynić wszystko, by ją odzyskać, by odzyskać pełnię swojego człowieczeństwa. Odbierając życie anonimowemu Afgańczykowi, odebrała je w pewien sposób jeszcze komuś. Zabiła, paradoksalnie, nieśmiertelnego Boga, w którego do tej pory na swój sposób wierzyła. „Gdyby ten Bóg istniał, nie musiałabym zabijać” – myślała. „On nie pozwoliłby na toczenie bezsensownych wojen”.

Starsi koledzy próbowali w takich sytuacjach ratować się, czy też oszukiwać, poprzez przyjęcie postawy pierwotnego myśliwego. Odbiera się życie z koniecz-



ności, okazując ofierze szacunek, choćby przez krótką myśl, zawierającą usprawiedliwienie czy przeprosiny, bądź polecając duszę ofiary Bogu, lub wypicie wieczorem szklaneczki whisky za duszę zabitego. Kira, biorąc z nich przykład, chciała czynić podobnie. Chciała ofiarować eliminowanym celom kilka słów modlitwy, westchnienie do Boga. Za najbardziej właściwe uznała: „Bądź wola Twoja, Panie”. Wyszepiała to tylko raz, przy pierwszej ofierze. Później już tego nie robiła. Pojęła, że słowa jakiegokolwiek modlitwy, a zwłaszcza te, odwołujące się do boskiej woli, są niestosowne, wręcz idiotyczne. Z jednej strony są głupim usprawiedliwieniem dla niej samej: „Taka była wola boska”. Z drugiej strony skonstatowała przecież, że Boga nie ma, bo On nie może być takim, jakim musiałby być w obliczu tej czy jakiegokolwiek innej wojny. Bóg nie może się opowiadać po żadnej z walczących stron, a zatem to nie z Jego woli są ofiary na wojnach. Tak, człowiek ma wolną wolę i to od niego zależy, jak z niej skorzysta. To człowiek odpowiada za wojnę. Jednakże „bądź wola Twoja” nijak nie przystaje do ostrzałów wiosek, działań lotnictwa, w wyniku których giną dzieci. Gdzie był Bóg w czasach obo-



zów koncentracyjnych, holocaustu? Taki Bóg nie istnieje, a innego Kira nie potrafiła nigdzie dostrzec, choć bardzo tego chwilami pragnęła, wierząc, że to pozwoli jej odnaleźć tę jej część, która odeszła, gdy zastrzelony przez nią pierwszy człowiek osunął się na ziemię. Była żołnierzem i wykonywała swoje rzemiosło, a rozkaz, do niedawna jeszcze, był czymś, co należało bezwzględnie i za wszelką cenę wykonać. Nigdy jednak nie zabiłaby nieuzbrojonego cywila. Nie mogłaby tego zrobić. Przecież wykonując hymn korpusu, śpiewała: *Pierwsi w walce o prawdę i wolność / pilnujemy, by nie splamić honoru*. Jej Steven i pozostała dwójka zostali po prostu zamordowani i na dodatek zwłoki dwójki zostały zbezczeszczone. Żadne z nich nie zagrażało nikomu w żaden sposób i snajper morderca musiał o tym wiedzieć. Obserwował przecież pojazd i jego pasażerów. Musiał wiedzieć, że tą drogą poruszają się, obok doskonale rozpoznawalnych pojazdów wojskowych, także i pojazdy cywilne. Widział, że jego ofiarny nie mają mundurów ani broni. Strzelając, pozbawił Kirę i bliskich pozostałych ofiar największego daru, jaki człowiek może otrzymać od Boga, niezależnie jak Go nazywa – daru dzie-



lenia życia z drugim człowiekiem. Zabił, bo lubił zabijać, bo kierowała nim ślepa nienawiść. Był mordercą. Kira wiedziała coś o tym. Wielu snajperów, po dłuższej służbie, przekraczało niewidzialną granicę – cienką czerwoną linię, którą zawsze powinni mieć w głowie – i rozsmakowywało się w zabijaniu. Kira uważała, wbrew opinii niektórych kolegów, że ci, z którymi walczą, mogą być traktowani jak żołnierze. Ten osobnik nie zasługiwał jednak na to miano. Swoim czynem dowiódł, że jest tylko psychopatycznym mordercą, którego należało natychmiast zneutralizować.

Spakowała wszystko, co było jej niezbędne do przetrwania kilku dni w górzystym terenie i łamiąc wyraźny rozkaz, wyruszyła na swoiste polowanie. Zabójca jej męża musiał zginąć. Nie wiedziała, czy i kto szkolił tego mordercę. Nie wiedziała nawet, czy jest on Afgańczykiem czy też obcokrajowcem, najemnikiem ceniącym tylko pieniądze i adrenalinę lub zwyrodnialcem kochającym zabijać, bo i takich sporo się tu kręciło. Wiedziała jedno – na każdego snajpera czeka gdzieś jego kula, a ona ma tę, która trafi mordercę jej męża. Snajperzy



są uparci i cierpliwi. Są też zabobonni. Każdy, którego znała, miał jakiś talizman, amulet mający chronić go przed śmiercią. Często był to noszony na szyi, na łańcuszku lub rzemyku, nabój karabinowy. Jeśli jej wróg ma jakiś amulet, to ten nie będzie go w stanie ochronić przed jej gniewem i chęcią zemsty.

Ekwipunek, który zabrała ze sobą, nie mógł, z konieczności, być zbyt bogaty. Wzięła więc tylko trochę żywności, stosunkowo sporo wody, lornetkę, niezbędne maskowanie i przede wszystkim największego jej przyjaciela – karabinek Remington M 24 SWS z magazynkiem na pięć naboji kalibru 7,62. Kochała tę broń ważącą nieco ponad pięć kilogramów i mającą zasięg do dwóch kilometrów, a skuteczność w granicach ośmiuset metrów. Ona potrafiła sprawić, że broń była skuteczna nawet na odległość kilometra.

Wiedziała, gdzie przeciwnik może się zacząć i urządzić sobie stanowisko strzeleckie. Wybrała więc dla siebie kryjówkę na wprost tego miejsca, od którego dzieliło ją mniej niż pół kilometra w linii prostej. Licząc zejście po zboczu, na którym się kryła i wejście na to, na którym spodziewała się wroga, było to około kilo-



metra. Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko czekać, aż przeciwnik się pojawi i w jakiś sposób zdradzi swoją obecność i zajęłą pozycję. Wierzyła, że tak się stanie. Błagała los, by z bazy nie wysłano za nią żadnej grupy poszukiwawczo-pościgowej. Liczyła na mądrość swoich przełożonych i kolegów i w to, że będą mieli jednak do niej zaufanie i domyślała się, że wróci, kiedy tylko zrobi to, co zrobić musi i w skrytości swoich serc zaakceptują myśl, że ona musiała to zrobić.

Zaległa w swojej kryjówce, leżąc w kępie wysokich, zeschłych traw śmierdzących moczem przechodzących tędy czasami kóz i ich pasterzy. W nozdrza drapał ją czerwony pył afgańskiej gleby. Gdyby nie miała na sobie stroju maskującego, szybko stałaby się pożywieniem dla krwiożerczych owadów, których nazw nawet nie znała. Bolały ją oczy od nieustannego obserwowania okolicy przez lornetkę, w nadziei, że ujrzy wreszcie choćby drobny ruch, błysk światła zdradzający przeciwnika. Bolały ją też mięśnie od długotrwałego leżenia bez ruchu. Hełm na głowie ciążył niemiłosiernie. Wiedziała jednak, że musi być cierpliwa. Dopiero noc przynosiła ukojenie, pozwalała rozprostować członki, rozmaso-



wać zeszywniałe, obolałe mięśnie, załatwić potrzeby fizjologiczne, zjeść cokolwiek i nade wszystko dać odpocząć zmęczonym oczom. Tego, co działo się w jej głowie, noc nie była jednak w stanie uspokoić. Prawie nie spała, bo nie można spać, gdy wali się życie, a wszystko to, na czym ono do tej pory się opierało, staje się przeszłością, a natłok myśli niemalże rozsadza czaszkę. „Stevena już nie ma, życie w armii i dla armii zaraz się skończy, być może długoletnim więzieniem. Jeśli, co daj Boże, nie pójdę do więzienia, to z całą pewnością wrócę do Polski. Kim tam będę? Czy znajdzie się dla mnie miejsce w polskim wojsku, a może zostanę ledwie ochroniarzem czy kasjerką w supermarkecie? Czy wystarczy mi sił do wykonania zadania, które sobie wyznaczyłam, i które mnie tu przywiodło? Odbierałam życie wielokrotnie. Gdybym była cyniczna, powiedziałabym, że to taka praca, ale to, co zamierzam zrobić, nie jest odebraniem życia na polu walki. To będzie morderstwo”. – Kira nie potrafiła się modlić, a zresztą gdyby prosiła Boga o pomoc w tym, co zamierzała zrobić, to byłoby to bardziej bluźnierstwem niż modlitwą, wręcz schizofrenią, bo przecież mówiłaby do bytu, któremu odmówiła prawa istnienia.



Dlatego przemawiała w myślach nie do Boga, a do tego, którego zamierzała zabić. Przywoływała go w myślach, nęciła, zachęcała do aktywności, wygrażała mu i lżyła go.

Pojawił się trzeciego dnia przed południem. Zdradził go nieznaczny ruch wysokich traw na przeciwnym stoku, gdy zajmował pozycję, i krótki, sekundowy błysk szkła lunety celowniczej, którą zapewne zakładał właśnie na swój karabinek. To wystarczyło. Wypatrzyła go bez trudu. Kiedy się ułożył, Kira nie posiadała się z radości. Jego prawy bok był w stosunku do jej pozycji całkowicie odsłonięty. Domyśliła się, co nie było aż tak trudne, że musi dostawać informacje na temat tego, kto i kiedy będzie tą drogą przejeżdżał w kierunku bazy. Od tygodnia mówiło się w bazie, że tego dnia należy się spodziewać generalskiej „niezapowiedzianej” inspekcji. To dlatego snajper zjawiał się dopiero teraz. Założyła tłumik i wycelowwała w głowę wroga. Ustaliła odległość, siłę i kierunek wiatru, skorygowała przyrządy celownicze. Położyła palec na spuście i wstrzymała oddech. „Za chwilę morderca mojego męża przestanie żyć”. – Czuła narastające podniecenie. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek uczu-



cia, zwłaszcza negatywne, jeśli ma prawidłowo wykonać zadanie, które sama sobie wyznaczyła. „*Wiele razy walczyliśmy o życie / I nigdy nie puszczały nam nerwy*” – przypomniła sobie kolejny fragment hymnu kompanii. Tknięta nagłym impulsem, zmieniła zamiar. „Zabójca trójki niewinnych osób nie może zginąć śmiercią szybką i bezbolesną, bez świadomości, że właśnie umiera. Taką śmiercią giną przecież ludzie, którzy mieli nieszczęście spotkać na swojej drodze snajpera. On musi wiedzieć, że umiera i dlaczego”. – Opuściła nieco lufę i wycelowwała w brzuch czającego się w ukryciu talibskiego wojownika. Ponownie jednak zmieniła zamiar. Wycelowwała trzeci raz i tym razem pociągnęła za spust. Kula roztrzaskała łokieć prawej ręki wroga. Niemalże usłyszała jego okrzyk bólu. Nie panując nad swoimi odruchami, zerwał się gwałtownie. Druga kula Kiry trafiła go w prawe kolano i ułożyła ponownie w trawie. Żył, ale nie był już zdolny do walki.

Wycofała się ze swojego stanowiska, zebrała ekwipunek i, zachowując najwyższą ostrożność, ruszyła w kierunku przeciwnika. Zastała go w pozycji pólężącej, tuż pod rachitycznym krzakiem, który miał ukryć jego

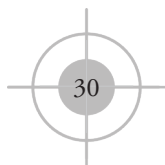


obecność, jęczącego z bólu. Dołem, po drodze, na której mieli znów zginąć ludzie, przeszedł kilkuletni chłopiec ubrany w brązową, brudną i zapewne śmierdzącą galabiję. Tuż za nim przejechały trzy wojskowe pojazdy wiozące oczekiwanego w bazie generała. Pastuszek spokojnie pędził przed sobą trzy mizerne, brązowe kozy. On i jego zwierzęta kierowali się ku górze, zboczem, na którym Kira stała, patrząc na swoją ofiarę. Talib krwawił dość obficie z ran, a jego prawe przedramię łączył z resztą ciała tylko kawałek skóry. Ręka była stracona. Taki sam los zapewne czekał i prawą nogę. Kolano było całkowicie strzaskane kulą wystrzeloną przez Kirę. W odruchu litości, którego sama nie rozumiała, założyła mu opaski uciskowe. Krwawienie nie było już tak obfite, ale ranny i tak stracił bardzo dużo krwi i był na granicy wstrząsu. Obszukała go. Zabrała pistolet, nóż i telefon satelitarny. W końcu zapytała go, czy mówi po angielsku. Potwierdził skinieniem głowy.

– Masz jakieś imię, kozi synu?

– Abdul Alim – odpowiedział szeptem, a później dodał: – Kiepsko strzelasz, suko.

– Głupi się urodziłeś i głupi umierasz, Abdulu. Do stałeś tam, gdzie chciałam cię trafić.





– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła jego pytanie. – Powiem ci dlaczego. Jestem żołnierzem, snajperem.

– Jak ja.

– Ty jesteś parszywym mordercą! Kula snajpera niosąca śmierć jest czymś czystym i przeznaczonym dla wybranych, noszących mundur i w ten sposób także w jakiejś mierze czystych. Ty taki nie byłeś i nie jesteś. Ty jesteś zwykłym mordercą. Trzy dni temu zamordowałeś kobietę i dwóch mężczyzn. Ona była dziennikarką i chciała pisać o sytuacji w tym kraju, w twoim kraju. Jeden z mężczyzn był pisarzem. Chciał poznać kulturę twojego kraju, zrozumieć, co się tu dzieje, napisać o tym książkę. Drugi, twój rodak, zarabiał na życie, wożąc ludzi starym zdezelowanym samochodem, którego spalony wrak tkwi tam na dole, niczym dowód twojej zbrodni. Nie tylko zamordowałeś tych ludzi, ale i zbzcześciłeś ich ciała, podpalając auto. Ty się mienisz wojownikiem, żołnierzem? Takie są według ciebie prawa wojny?! Zabijać wszystkich?! Nawet twoja religia, wbrew temu, co się opowiada, nie nakazuje tego. Oczekujesz śmierci czystej, godnej wojownika?! Nic z tego!



– Dżihad nakazuje zabijać was wszystkich!

– Mówiłam, głupi jesteś i głupi umrzesz. Dżihad oznaczał kiedyś dokładanie starań i ponoszenie trudów w celu wzmocnienia wiary, by trafić do lepszego miejsca. Pojęcie to istniało na długo przed pojawieniem się islamu, na terenach Beduinów. Oznaczał głównie opiekę nad rodem, troskę o rodzinę, walkę o przeżycie. Tak było, dopóki nie spaskudzili tego fanatyczni imamowie. Ja mam cię tego uczyć?! Za późno!

– Zabij mnie, suko! – wyszeptał. – I tak trafię do raju!

– Zabić cię? Po co? Przecież już to praktycznie robiłam. Mogę cię co najwyżej dobić i zrobię to, ale do raju raczej nie trafisz.

Mówiąc to, dzwignęła go pod pachy. Zawył z bólu. Zmusiła go do tego, by usiadł. Stała za jego plecami, rzuciła jego nakrycie głowy i chwyciła za tłuste i mokre od potu kruczoczarne włosy. Odgięła mu głowę do tyłu, ciągnąc za te włosy. Abdul Alim jęknął.

– Nie trafisz do raju! – powtórzyła. – Poderżnę ci gardło, a później odetnę twój łeb i wyrzucę go gdzieś, gdzie nikt, poza padlinożercami, go nie znajdzie. Wiesz lepiej niż ja, że nie trafisz do raju dopóty, dopóki two-



je ciało nie zostanie pogrzebane w całości, czyli nigdy, Abdulu Alimie.

Talib zeszywniał.

– Proszę, nie! – jęknął błagalnie.

Przyłożyła mu nóż do gardła, a następnie nacięła lekko skórę. Pojawiła się krew. Kira niemalże czuła jak pachnie strach jej ofiary. Abdul trząsł się, jakby trawiła go wysoka gorączka. Poczuła, że strach, który go opamnował, jest już tak wielki, iż Abdul Alim nie panuje nad mięśniami zwieraczy. Smród kału i moczu stał się nie do zniesienia, ale podzielał na nią w sposób, którego się nie spodziewała. Poczuła, że opuszczają ją siły, że nie będzie w stanie zabić tego człowieka, ani podcinając mu gardło, ani strzelając do niego z bliska. Zrozumiała, że zabijając go, rzeczywiście stanie się morderczynią wcale nie lepszą od niego. „*Pilnujemy, by nie splamić honoru*”. – Niemalże słyszała w głowie, jak tę frazę śpiewa jej kompania. Puściła jego głowę i schowała nóż. Stanęła kilka kroków przed nim. Zdziwiony Abdul Alim spojrzał jej w twarz. W jego oczach mogła wyczytać, oprócz radości i delikatnego cienia pogardy, także i nieme pytanie o to, dlaczego porzuciła swój



zamiar. Była tam też nadzieja, że zachowa życie. Kira podniosła swój karabinek z ziemi, przeładowała i odwróciła się gwałtownie.

– Wyłaż! – rozkazała.

Z ziemi podniósł się wystraszony wyrostek, który jeszcze kilka chwil temu pędził drogą swoje trzy kozy, które teraz pasły się spokojnie nieopodal. Kira ruchem lufy nakazała chłopcu, by zajął miejsce obok Abduła Alima. Przerażony przysiadł na piętach obok swego pobratymcy. Lufa karabinu wycelowana była w głowę rannego, do którego powrócił teraz ogromny strach. W jego oczach pojawił się też żal, że to już koniec. Przerażony, może i wierzył, że za chwilę będzie w raju, gdzie nie będzie musiał spać, bo sen jest siostrą śmierci, gdzie będą czekały na niego tak piękne hurysy, że aż nie da się tego opisać. Może i w to wierzył, ale nie spieszył się do tego raju. Chciał mimo wszystko żyć. Wszelki fanatyzm był mu obcy. On tylko lubił strzelać i zabijać z bezpiecznej odległości. Bez ryzyka. Raz jeszcze spojrzął w oczy kobiety, która go raniła, a teraz miała zabić. Spojrzał na jej ręce, na palec położony na spuście. Wiedział, że nie zdąży zauważyć zgięcia tego palca, nie usły-



szy huku wystrzału, nie poczuje jeszcze jednej fali bólu, gdy kolejna kula będzie rozrywać jego ciało.

Kira opuściła broń.

– Słuchaj, kozi synu, powiedz temu chłopakowi, by pobiegł do wioski i sprowadził pomoc dla ciebie. Jeśli się nie pośpieszą, umrzesz, na co liczę. W przeciwnym razie będziesz żył, ale jako kaleka zależny od innych. Nie masz prawej ręki. Prawą nogę pewnie też stracisz. Do końca swoich dni będziesz przeklinał dzień, w którym zastrześliłeś tę trójkę niewinnych osób, i mnie za to, że nie wyekspediowałam cię do tego twojego rajku.

Odwróciła się na pięcie, zabrała jego broń, telefon i lornetkę, po czym ruszyła w drogę powrotną do bazy. Była gotowa na wszystko, co miało ją wkrótce spotkać.

Pozwolono jej polecieć z ciałem Stevena do kraju i po ceremonii kremacji pochować go. Postanowiono też, że sąd nad jej niesubordynacją odbędzie się w Madison, a samo postępowanie zostanie utajnione. Dość szybko uznano w tej procedurze, że nie ma już dla niej miejsca w armii. Pozwolono jej jednak, zważywszy na dotychczasowe zasługi i fakt, że jej postępowanie urato-



wało być może życie generałowi, odejść z armii na własne życzenie. Zachowała dotychczasowy stopień wojskowy i nadane jej odznaczenia. Pozbawiono ją jednak prawa do emerytury za lata spędzone w wojsku. W jej aktach osobowych nie pojawiła się wzmianka o tym, co było faktycznym powodem rozstania z armią.

Rodzina Straussów obwiniała ją za śmierć Stevena, nie przyjmując do wiadomości żadnych wyjaśnień. W ich ocenie Kira i tylko Kira była winna tej śmierci. W chwilach załamania przyznawała im w duchu rację. Gdyby nie wstąpiła do armii, gdyby nie pojechała na kolejną misję, gdyby zabroniła mężowi przyjeżdżać do niej, bo to było niebezpieczne, gdyby..., to Steven by żył.

Sprzedawała lub rozdała wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a co składało się na majątek męża. To, czego dorobiła się sama i co było owocem ich wspólnego życia, pozwalało jej patrzeć optymistycznie w przyszłość. Steven подарował jej kiedyś srebrny, otwierany medalion, w którym umieścił ich fotografie. Do wnętrza tego medalionu wspaniała odrobinę prochów męża. Teraz miała go już zawsze ze sobą i dla siebie i nie musiała się wyklócać z jego rodziną o możliwość odwie-



dzenia jego grobu. Od tej pory na szyi nosiła stale dwa amulety: ów medalion i onyksowy nabój karabinowy – talizman snajpera.

Pożegnawszy się z nielicznymi przyjaciółmi, wróciła do Polski. Stany i Korpus Marines były dla niej zamkniętą już kartą, choć wiedziała, że gdy usłyszy *semper fi*⁶, natychmiast odezwie się w niej dusza Marines i jeśli ktoś z jej druhów będzie w potrzebie, zrobi wszystko, by mu pomóc.

Na lotnisku w Warszawie spotkała kolegę ze studiów – Marcina Wojtanowskiego. Mężczyzna kochał się w niej kiedyś na zabój, ale był wówczas zbyt nieśmiały lub zbyt głupi, by jej to powiedzieć. Teraz, gdy ją zobaczył, o miłości mowy być nie mogło. Mecenas Wojtanowski, przykładny mąż i ojciec dwójki uroczych bliźniaków – Oli i Tomka, nie mógł sobie pozwolić na ryzykowne szaleństwo. Sentyment jednak i drżenie serca pozostały. To dzięki jego słabości do niej już po kilku tygodniach Kira miała pracę. Dzięki prawniczemu wykształceniu i temu, że formalnie odeszła z armii USA

⁶ *semper fi* (*semper fidelis*) – zawołanie amerykańskich Marines oznaczające, że żołnierzem piechoty morskiej nie przestaje się być nigdy



na własne życzenie, została śledczym Żandarmerii Wojskowej. Uznano i jej stopień wojskowy i czas służby. Kapitan Mazur nie zagrzała tam jednak długo miejsca. Ledwie po pół roku, ukończywszy podstawowy kurs kryminalistyki, wykorzystując kolejny raz Wojtanowskiego i jego układy oraz nadarzającą się okazję, złożyła aplikację do policji i została przyjęta.

DEMO



SPIS TREŚCI

Rozdział I.....	3
Rozdział II.....	39
Rozdział III	59
Rozdział IV	85
Rozdział V.....	107
Rozdział VI	122
Rozdział VII.....	180
Rozdział VIII.....	195
Rozdział IX	235
Rozdział X.....	253
Rozdział XI	274
Rozdział XII.....	301
Rozdział XIII.....	328
Rozdział XIV.....	365
Rozdział XV	408

